

Drugą – choć kolejność nie ma tu znaczenia genetycznego ani tym bardziej wartościującego – cechą istoty rozumnej ma być świadomość poczynań i działań, wiedza o tym, co jest przyczyną, a co skutkiem zrozumienie zamierzonego celu itp. Tu także widać rozdzielnie: dotyczy ono materialnej pracy i myślowego jej wyprzedzenia, co bywa nazywane zachowaniem prospektywnym. „[...] pszczoła – pisze w *Kapitale* Marks – budową swych komórek mogłaby zawstydzić niejednego budowniczego – człowieka. Ale nawet najlichszy budowniczy tym z góry różni się od najzręczniejszej pszczoły, że zanim zbuduje komórkę w wosku, musi ją przedtem zbudować w swojej głowie”^{8/}. Ta myśl, gdy uważnie się w nią wsłuchać, ujawnia jakieś drugie, pełne przynębnienia oblicze – choć oczywiście Marks chce pokazać wyższość człowieka nad pszczołą. Jednak słowa, jakich używa, jak one brzmią „najlichszy budowniczy” (człowiek), pszczoła „zawstydająca niejednego budowniczego – człowieka”, człowiek, który m u s i (jak gdyby był na to skazany) zbudować coś w głowie, nim zrobił to w rzeczywistości fizycznej. Niewykluczone, że przynębnienie myśliciela z Trewiru byłoby przezeń wyraźniej artykułowane, gdyby potrafił dojrzeć stan budowanych współcześnie mieszkań, a także świata jako domu wszystkich ludzi. Człowiek działa celowo i świadomie i to jest dopiero p r a c a; lecz czy rzeczywiście stawia on przed sobą cele godne realizacji? W jakim stopniu są to cele pożądane przez ogół ludzi, w jakim przez reprezentację tego ogółu? Czy do realizacji tych celów dobiera się dobre środki? Czy są to środki chociaż skuteczne? Pytania takie można mnożyć i za każdym razem pojawiają się wątpliwości. Działalność człowieka w coraz mniejszym stopniu nastraja optymistycznie – raczej przeciwnie, wzmagają się opinie katastroficzne, dostrzegające możliwość samozagłady itp. Tę nonsensowność poczynań ludzkich można tłumaczyć odwołując się do zatrutej ekosfery, co ma wpływać, jak twierdzi Julian Aleksandrowicz, na degenerację mózgow i myślenia. Zawsze pozostanie poczucie niepełności; wrażenie, iż jest to wyjaśnienie zjawiskowe – i nadal trzeba szukać czegoś wcześniejszego, powodu – podstawy. Rozum m o z e b y ć takim powodem.

W pracy ludzkiej zawiera się obszar dzielący czynność i myśl, która ją poprzedza, jest to miejsce wzajemnego ograniczania się tych dwóch pierwiastków. Można odnieść wrażenie, że *logos* i *ergon* pozostają naturami opozycyjnymi względem siebie. Myślenie i działanie, to jak gdyby dwie odmiennie struktury, dwie różne logiki; ich wzajemna nieprzystawalność mogłaby się wydawać czymś oczywistym, gdyby nie to trwałe zmistyfikowanie, jakiemu w dziwny sposób podlegają wszystkie zjawiska znajdujące się w towarzystwie rozumu i widzące w rozumie nadzwyczajną korzyść dla własnego istnienia. Działanie przebiega w ścisłym związku z rzeczywistością, myślenie jest przez swą pojęciowość od niej oderwane. Tamto jest z natury rzeczy konkretne, to abstrakcyjne. Logika działania jest w jakiejś mierze logiką nieuchronną i bierze się z kształtu, jaki nadaje jej sama, dotknięta działaniem, rzeczywistość. Myślenie jest czymś jednak rozbitym, czymś „dowolnym”, gdzie uprawnio-

ne są rozstrzygnięcia różne w stosunku do siebie. Każda ogólna racja powstała w umyśle znajduje dla siebie równie dobrze legitymującą się rację przeciwstawną: pomyśleć daje się wszystko, zrobić nie. Myślowe przywoływanie racji i ich zaprzeczeń prowadzi do stanu „zawieszenia” jakiegokolwiek aktywności fizycznej, a potem i psychicznej. Są to pułapki intelektualizmu, a jedną z nich jest sytuacja Hamleta, gdzie sławne „być albo nie być?” nie doczeka się przecież odpowiedzi. Inną taką sytuacją jest ta, jaką opisuje Jan Buridan w znanej bajce o osiołku, który ginie w efekcie niemożności dokonania wyboru między owsem i sianem: ten osiołek to ironiczny portret kogoś jak najbardziej myślącego; to wyjawienie tragizmu sytuacji „środka”, kompromisu, który zawsze niszczy ustawionego w ten sposób człowieka. Obojętnie na co – ważne by podjąć już pierwszy krok, by zdecydować się na cokolwiek: to właśnie rozpaczliwa potrzeba człowieka wahającego się.

„Słowo i czyn” – to zestawienie jest wyrazem kompleksów niekonicznie poety. Skłócenie, alternatywne istnienie obu tych obszarów posługujący się słowem pisarz odczuwa może szczególnie boleśnie, lecz przecież nikt, kto myśli, nie może uwolnić się od doświadczenia tej sprzeczności. Wahanie się, ustawiczne ważenie różnych racji i wartości – wszystko to prowadzi do paraliżu czynności pozaintelektualnych, nawet do tchórzostwa, jak wskazuje przykład prof. Sonnenbrucha z *Niemc* – w Leona Kruczkowskiego. „Na polu walki politycznej zwycięstwo nie bywa udziałem Hamletów”^{9/} – pisał w jednym ze szkiców St. Ossowski; myśl ta zachowałaby swą wartość także wtedy, gdyby odnieść ją do wszelkiej walki, do wszelkiego działania. Co uderza w organizacji życia ludzi niejako powołanych do ciągłej gotowości i sprawności, to – jak widać to na przykład w wojsku – możliwie dokładne ustrukturalizowanie czasu, ustalenie formalnych jego przedziałów i wypełnienie ich następnie określonymi czynnościami, takimi nawet jak spożywanie posiłku, zabiegi higieniczne itp. Zmierzają do wyeliminowania czasu prawdziwie wolnego dla jednostki, takiego, którym może dysponować dowolnie, który może zatem zrodzić refleksję zabójczą z perspektywy prakseologicznej. Zapewne, jest to jakaś forma instrumentalizacji człowieka – lecz bierze się ona z rozpoznania krępującej roli, jaką pełni myśl w stosunku do działania. Możliwe, że dopiero takie ujęcie sąsiedztwa *logosu* i *ergonu* pozwoliłoby wytłumaczyć skuteczność takich poczynań społecznych, których podmiotem – jak ma to miejsce podczas wielkich rewolucji – są nieskore do intelektualizowania masy. Można by następnie w podobny sposób wyjaśnić stymulującą rolę intelektualistów, ekspertów, doradców czy ideologów. Wszystkie tego typu przypuszczenia, jakkolwiek mało podatne na kategorię uzasadnienia, układają się w dość spójny kształt, który można dostrzec pozbywając się złudzeń co do roli rozumu w doświadczeniu człowieka.

Trzecim momentem wskazującym na przynależność do gatunku *homo sapiens* ma być podmiotowo ujęty czas. Ma to więc być świadomość trwania i przemijania; poczucie *continuum* i jego skończoności; wiedza o przeszłości i myśl o czasie jeszcze nie

dokonywanym. W specyficznie ludzkim spojrzeniu na czas dokonuje się, widoczne już uprzednio, rozbieżność całości. Jest to tym razem podział czasu na przeszłość i na przyszłość. Co prawda zwykło się sądzić, że między przeszłością i przyszłością jest jakieś miejsce na teraźniejszość, lecz jest to sąd dość niefrasobliwy. Gdzie bowiem jej szukać, o jakim kwancie czasu można powiedzieć, że nie rozpada się na mniejsze, że nie jest już zatem przeszłością nie będąc jeszcze przyszłością. Ów chronom, gdyby istniał, mógłby być podstawą aktualizacji świata; ten fragment czasu pokazywałby granice pozwalające powiedzieć o świecie, że j e s t, że pozostając w polu chronomu jesteśmy w „teraz”. Otóż rzeczywiście, zdarza się, że wiążąca materię z czasem fizyka znajduje taki niepodzielny już okrucz, odpowiada on przebiegowi światła przez równie niepodzielną, wyliczoną jako 10⁻¹³ średnicy elektronu, drobinę materii, i daje się określić miarą 10⁻²⁴ sekundy^{10/}. Jednak radość z odnalezienia aktualizującego świat momentu przygasa wraz ze stwierdzeniem kolejnej, wypływającej stąd trudności: w jaki wobec tego sposób ten ziarnisty czas może płynąć?

Oczywiście, można tu wskazać na błędność tak stawianych problemów, na antropocentryczną, bliską Kantowskiemu subiektywizmowi ich podstawę. Czas „prawdziwy”, obiektywny – powie przyrodnik – nie stosuje się do tworzonych przez człowieka trójpodziału. W świecie rzeczywistym można mianowicie mówić sensownie o zdarzeniach wcześniejszych i późniejszych w stosunku do siebie i przyszłości. Tyle tylko, że stwierdzenie to niczego nie zmienia: pomija bowiem to, że człowiek, istota dysponująca rozumem, chce przecież ten różnie pojmowany przez poszczególne doktryny czas wyrazić w kanonie swego intelektu. Zdzisław Augustynek, autor wielu publikacji badających zjawisko tempoidalne, zauważa kilkakrotnie^{11/}, że zupełnie beznadziejnie wygląda sprawa wyjaśnienia takich własności czasu, jak spójność, jednowymiarowość, niezwartość czy nierozgałęzioność. Te odwieczne – choć może inaczej sformułowane – pytania nie doczekają się dziś odpowiedzi aby tylko trochę lepszej od tych, jakie sformułowano u początków racjonalnej refleksji; nie doczekują się więc właściwie żadnej odpowiedzi.

Jakie wobec tego, gdy wyraźna staje się niemoc poznawcza istoty chcącej ogarnąć czas rozumem, można dostrzec konsekwencje egzystencjalne ujmowania przez człowieka czasu podzielonego na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość?

Podział ten, jeśli ująć to dobitnie, prowadzi do wyobcowania człowieka ze świata; albo jeszcze inaczej – jest kolejną, po wyobcowaniu podmiotowo-przedmiotowym, oraz tym, jakie wynika z niemożności pogodzenia myśli z działaniem, formą alienacji istoty rozumnej. Chodzi tu zasadniczo o niemożność doznania momentu istnienia, o oderwanie od każdego i wszystkich aktów b y c i a w elementarnym, ontologicznym znaczeniu tego słowa. „Co było a nie jest nie pisze się w rejestr” – pociesza się myśl potoczna, lecz to złudna pociecha. Co było to także jest, i trudno byłoby tę złożoność obecności uprościć. Trudno bowiem uwolnić się od tej przypadło-



ści świadomego istnienia, jaką jest pamięć. „Przez z mej pamięci!” – taki nakaz nie mieści się w granicach możliwości człowieka, z czego zdał sobie sprawę na długo przed owym romantycznym wyznaniem. To właśnie poczucie – poczucie niemożności zatrzymania czasu, doznania teraźniejszości i b y c i a – wypełnia owo Horacjańskie *carpe diem*; ono też, to samo poczucie, rodzi strach przed przemijaniem. Orgie rzymskie i dzisiejsze „wielkie żarcie”; dawne formy orgiastyczne i współczesne zapamiętywanie się w narkotykach, w alkoholu czy muzyce; król Mykerinos, o którym wspomina Herodot, że nie spał przez sześć lat nie chcąc uronić chwili z przemijającego świata, i człowiek, który poszukuje dziś środków odsuwających zmęczenie – wszystko to pokazuje świadomość zatrutą ruchem od przeszłości do przyszłości. Czas przekraczający teraźniejszość, powie w swojej ostatniej książce Fromm, stwarza opozycję między „być” i „mieć” – rodzi mianowicie człowieka, który „ma”. „Sposoby istnienia bytu występują jedynie *hic et nunc*, a więc tu i teraz, sposoby posiadania występują natomiast na przestrzeni czasu, w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości”^{12/}. Pragnienie zatrzymania czasu staje się wyraźne w doktrynach, które – z pejoratywnym jednak odczuciem – zwie się konserwatywnymi. Istota rozumna ceni postępek, lecz postępek to coś paradoksalnego: to gorączkowe poszukiwanie ładu, od którego ten ruch oddala. „Stare zamiera a nowe nie może się narodzić” – to słowa wcale nie konserwatyisty, mianowicie Antonia Gramsciego.

Może tylko czas, jaki opisuje Mircea Eliade – czas sakralny, uobecniony praczas mityczny – jest to dopiero czas ontologiczny i w parmenidejskim sensie tożsamy z sobą. Przecież jednak i *homo religiosus* doświadcza zasadniczego czasu zwykłego, świeckiego. W tym normalnym, rozumnym trwaniu moje „teraz” to moja przeszłość; to także moja przyszłość, o której – zdolny do wyobraźni – myślę, którą, jak to określił Martin Heidegger, projektuję. Więc przeszłość i przyszłość, nie ma tylko najważniejszego: mnie.

I probierz czwarty spośród tych, jakie wymienia miarodajna dla tego typu orzeczeń psychologia. Tym czwartym wyróżnikiem człowieka ma być świadomość, że się nią jest; myśl o własnej myśli; wiedza o sobie itp. Pojawia się też czasami słowo „samoświadomość”, lecz jest ono mylące: w samoświadomości nie słyhać rozdzielania, tam – jak w samym kształcie wyrazu – zawiera się coś jednego i domkniętego. Tymczasem tu nie: tu widać świadomość odłączoną od siebie samej, jest tu jakieś wywyższenie i poniżenie, jest też kontrola, która ma postać samokontroli, a więc czegoś ostatecznego. Więc takie właśnie spojrzenie na siebie z góry pozwala zaistnieć, wyrazić się, tżem poprzednim stygmatom: oddzielenie podmiotowej, świadomości znamionującej działanie i poczucie czasu transcendującego aktualność. Dlatego *awareness of*

awareness, gdyby posłużyć się znowu dobrym określeniem Armstronga, jest czynnikiem wyróżnionym na tle dość umownie przecież wskazanych cech istoty rozumnej.

Żeby zobaczyć cokolwiek, potrzebne jest oddalenie – od tego może należałoby zacząć. Jest to pierwsza myśl rozumu, abstrakcji i innej aniżeli Hegłowska pojęciowości. Umysł ludzki chełpi się tym, że widząc mnogość rzeczy kategoryzuje je na mocy pewnego dystansu. Hermeneutyczne wyznaczenie wiary pozostanie zapewne czymś bliżej niezrozumiałym tak długo, jak długo człowiek będzie sobą w swym obecnym kształcie. Więc oddalenie: kulistość Ziemi ukazuje perspektywa kosmiczna; czym jest życie, kim jest człowiek – tego nie wiem niestety, gdyż to ja właśnie jestem bezpośrednio życiem i człowiekiem; nie mogę wyjść z własnej skóry, by móc spojrzeć na siebie z zewnątrz. Tu jednak, w omawianej własności istoty rozumnej, mamy do czynienia z takim właśnie usiłowaniem. Świadomość własnej świadomości jest sytuacją lustra. Jest to bardzo mechaniczna analogia, bo człowiek znajduje dla każdego zwierciadła inne, w którym tamto się odbija. Może to prowadzić do ułożenia się nieskończonego szeregu metaluster, co owocuje tym szczególnym poczuciem beznadziei, jakie towarzyszy szeregowi trójek po przecinku w systemie dziesiętnym.

Pierwsza cecha *homo sapiens*, odrywająca podmiotowego człowieka od świata przedmiotów, oznacza rysę przebiegającą poza samym człowiekiem – przebiega ona właśnie między nim i światem. Druga cecha pokazuje rozpad w większym już może stopniu dokonujący się w samym człowieku, lecz wciąż dzielący go od świata: rozdział myśli i czynu dokonuje się w obszarze podmiotowym, i obszar ten przekracza, bo działanie jest przecież ludzkim kontaktem ze światem, jest komunikacją zagłuszoną przez rozum. Trzeci wyróżnik świadomej racjonalności ogranicza swój zakres do samej myśli o czasie, lecz i tu widać przekroczenie podmiotu, bo jest to jednak myśl o czasie-świecie; tempus w tym myśleniu to także *templum*, czyli miejsce. No i wreszcie czwarta, omawiana właśnie, cecha pokazująca fenomen ludzki – tu sytuacja schizoidalna jest rzeczywiście czysta; ta schizoidalność to już schizofrenia, bo dzieli się sam umysł. Jest teraz sam w świecie; jestem sam z sobą; ja i ja – choć może zjawić się jeszcze ktoś trzeci czy nawet czwarty (myślę, że myślę, że myślę...). Gdy więc jestem sam na sam z sobą, wtedy w sposób paradoksalny – co nie znaczy przecież: nonsensowny – można w tej dualności dostrzec ową charakterystyczną dla schizofrenii autystyczną pogoń za własną tożsamością, pragnienie odnalezienia swojej najgłębszej istoty itp. Tu chodzi już tylko o mnic – nie ma świata przedmiotowego, nie ma zawieszonych przez umysł czynów, nie ma czasu przekraczającego czas aktualny: jestem sam. Ale niepełnie; jest nas przynajmniej dwóch. →